

Relacja z P. Witoldem Czerwonką, przeprowadzona przez Dariusz Marciniaka.

7 ARCHIWUM WSPÓLNE

Urodziłem się 26 lipca 1922 roku w okolicach byłego powiatu Hrubieszów. Kiedy miałem dwa lata rodzice moi przeprowadzili się na teren Polesia w rejon Pińska. Ojciec mój był legionista, uczestnikiem walk 1919-20 z bolszewikami i z tego tytułu otrzymał przydział ziemi w miejscowości Parszewice gmina Zabrzyce powiat Pińsk woj. Poleskie.

Do 1939 roku rodzice moi pracowali na gospodarce, a ojciec częściowo w Rejonie Dróg Publicznych przy budowie trasy Pińsk-Brześć. Ja chodziłem do szkoły najpierw na terenie wioski Parszewice, a od VI klasy w Pińsku. W 1936 roku zdałem egzamin do gimnazjum mechanicznego w Brześciu.

W 1939 roku po wybuchu wojny i zajęciu tych ziem przez Sowieców, pomimo otwarcia szkoły nauki już tam nie podjąłem. Jeszcze przed wybuchem wojny na nasze tereny wkreśliła się ciężka atmosfera zbliżającej się wojny, pomimo panującego w społeczeństwie entuzjastycznych haseł, że jesteśmy silni, zwarci, gotowi. Rodzice moi, znali okropieństwa jakie zawsze niesie ze sobą wojna. Ojciec mój został zmobilizowany do wojska, wrócił już po wkroczeniu Sowieców na nasze tereny. Sama wiadomość o wkroczeniu wojsk bolszewickich uderzyła nas jak grzmot z jasnego nieba, aczkolwiek parę dni wcześniej wśród miejscowych pojawiły się plotki, m.in. P. Gotowko na kilka dni przed tym faktem powiedział że będzie inna władza, ale żeby się jej nie obawiać. Nie wiem na ile były to wiadomości sprawdzone, a na ile tylko domysły miejscowych mieszkańców Parszewic i okolic. W naszej osadzie, a raczej na koloniach mieszkało 12-ście osadniczych rodzin. Były to rodziny, Adamczuków, Grabińskich, Siejków, Kozbuch, Denta, Czerwonka, Lenart, Zarębski, Nowak, Olechno i Wiąsus. Widzieliśmy wkraczające wojska sowieckie. W czasie interreksu miejscowa ludność zachowywała się w sposób agresywny. W naszej osadzie na szczęście dla nas większych ekscesów nie było, za wyjątkiem jednego przypadku, kiedy to wspomnianego Adamczuka zamknięto na parę dni w więzicy. W każdym razie w stosunku do znienawidzonych Polaków zachowywali się w bestialski sposób. Był to czas załatwiania porachunków.

Pamiętam pewne zdarzenie. Nasze zabudowania były podzielone traktem Boguszew-
wice-Parszewice. Tym to traktem zgraja miejscowych prowadziła swego siomka W
Wasyla. Był on przed wojną gajowym. Widziałem go był pobity, ręce miał związane
na szyji z wisak mu powróż. Doprowadzili go do Parszewic i tam na placu
przed cerkwią ponownie publicznie go pobili. Na terenie innych osad mordo-
wano naszych osadników, od nas to tylko rowar zebrali. Całe szczęście szybko
nastąpił spokój. W okolicach wiat Bożego Narodzenia rojschałem z kolegą
Adamczukiem do Pińska, aby tam spędzić Sylwestra. W czasie naszej podróży w
pociągu jeden z naszych znajomych powiedział, że mają być aresztowani
osadnicy naszej osady. Wróciłem do domu. Ojciec mój tej samej nocy wraz z są-
siadami uciekł w kierunku Pińska, gdzie przekroczył granicę z Niemcami.
Przebywał na terenie GG przez cały okres okupacji.

Wieczorem 9 II byłem na wsi w sklepie. Zaobserwowałem pewne poruszenie,
ale nie mogłem się zorientować co było jego przyczyną. Wprawdzie spotkałem
znaną ze szkoły, która starała się coś mi dać do zrozumienia, coś przekazać
o tym co się stanie. Opowiedziałem o tym matce. Razem z nami nie było tej
nocy naszej siostry, przebywała ona bowiem w Pińsku. Nad ranem usłyszeliśmy wo-
lenie w drzwi i ujadanie psów. Okazało się, że przyszła miejscowa władza.
Kazano nam się ubierać. Pytali o ojca, a gdy się dowiedzieli, że wyjechał
to mimo, wszystko przeszukali mieszkanie i zabudowanie. Wtedy odczytali
nam ukaz Wierchownego Powiatu o przesiedleniu naszej rodziny na tereny
innej oblasti ZSRR. Matka zaczęła płakać. Wśród tych co po nas przyszli
był taki jeden z którym chodziłem do szkoły. Zaczął się z nas śmiać i po-
wiedział, że tam nam będzie lepiej. Odpowiedziałem mu to czemu sam się tam
nie wybierze. Na spakowanie dali nam ok. 2 godz. Zebrałiśmy trochę ubrań,
żywności, wszystko co się dało spakować w przeciągu tak krótkiego czasu.
Wyjeżdżaliśmy jak zaczęło świtać. Załadowano nas na sanie i zawieszono na
punkt zborny jakim była szkoła. Znalazły się tam wszystkie rodziny osadników
z naszej osady ze wyjątkiem rodziny Kodzbuha. On sam już w tym czasie nie
żył, a jego żona była miejscowego pochodzenia. Dołączono do nas nauczycieli.
Wieczorem załadowano nas na sanie i zawieszono na bocznicy kolejowej w Pińsku.

Stały tam przygotowane na nasze przyjęcie wagony towarowe. Cały skład był obstawiony wojskiem. Załadowano nas po 30-40 osób do jednego wagonu. W wagonie tym były przygotowane nary do spania i piecyk. Do Pińska zwozili osadników z terenu całego powiatu np. z osad Martynówka, Labczyk i innych. Moja rodzina w chwili wywózki składała się z Mamy mnie, młodszej siostry Janiny, najmłodszego Władysława. Najstarsza siostra, która w chwili przesiedlenia przebywała w Pińsku dołączyła do nas. Miałem możliwość ucieczki, nawet już przygotowałem walizkę. Zapytałem się jednak matki co mam robić. Odpowiedziała, żeby robił co mi serce każe dyktuje. Po namyśle pozostałem z rodziną. Podróż w tych bydłowych wagonach była straszna. Panowało przenikliwe zimno. Opału do piecyka coś nie coś dawali, ale była to nie wystarczająca ilość. Na przystankach braliśmy co kto mógł. Każda rodzina żywiła się tym co zabrała z domu. Mieliśmy ustaloną kolejność gotowania na piecyku. Od czasu do czasu na większych stacjach jak Homel, Brańsk dostawialiśmy trochę żywności w formie czy to zupy czy porcji chleba na rodzinę. Podróż trwała ponad miesiąc. Przed Moskwą skręciliśmy na północ i mogliśmy się zorientować gdzie nas wiozą. Dowiedzieli nas do stacji Archangielsk. Wyglądaliśmy strasznie nie myci brudni. Ze stacji przewieziono nas do Zakładów Przetwórstwa Drzewnego i tam ulokowano nas w barakach. Mieliśmy możliwość skorzystania z dobrodziejstwa Łaźni, chociaż warunki były wybitnie krępujące. W Archangielsku przetrzymano nas 3 czy 4 dni aż z poszczególnych posesiłek przyjechały sanie. Wywieziono nas w kierunku wzdłuż rzeki Dwiny aż do ujścia rzeki Piniegi do miejscowości zwanej Ustpieniga. Tam nas podzielono. Kilkanasć rodzin odtransportowali na płn-wsch wzdłuż Piniegi. Z tym transportem pojechała nasza rodzina. Podróż saniami trwała ponad tydzień pokonaliśmy odległość ok. 300km. a może więcej. Saniami jechały tylko nasze bagaże, ewentualnie dzieci lub niedołączone osoby, m.in. jechała nimi moja mama bo dostała krwotoku. Pomocy lekarskiej nie było. Nocowaliśmy po stanicach mieszczących się w wioskach. Tam zwalano nas na kupę, nie było miejsca by się położyć. Po tygodniu dowieźli nas do posesiłka Joźma rej. Piniegi. Była to osada położona nad rzeką Piniegą w odległości ok. 40 km. od rejonu

Rozlokowano nas po kołchozowych chałupach typu barakowego, wybudowanych przypożyczając gdzieś w latach 1935-36 w okresie przesiedleń z Ukrainy. Mieszkaliśmy razem z tantejszymi mieszkańcami. Nas wraz z trzema innymi polskimi rodzinami ulokowano w jednym baraku. Mieszkały z nami rodzina Adamczuków, Obarów, jedno pomieszczenie zasiedlało ponad 20 osób. Od razu zrobiono nam zebranie na którym opiekun z ramienia NKVD Ukrainiec jasno określił nasze prawa i obowiązki, a raczej same obowiązki, no i oczywiście kary jakimi mieliśmy podlegać w przypadku niestosowania się do zaleceń władz. Swoje przemówienie zakończył stwierdzeniem "że żyć tu nam trzeba jak w miedzianym kociołku" co miało znaczyć, że nie wolno nam było się oddalać.

Ludności miejscowej powiedziano, że przywiozła do nich burżujów, pomieszczczyków i polskich panów. Początkowo niechętny z bieżem czasu ich stosunek do nas zmienił się radykalnie gdy zorientowali się kim byliśmy naprawdę. Potem stosunki układały się prawidłowo, choć byli oni stale poddani zastraszaniu. Po paru dniach pobytu przeznaczoną na zagospodarowanie się, zebrano nas ponownie. Młodych powyżej lat 16-tu zebrano na lesopunkt do pracy. Zebrano w ten sposób ok 40 osób. Zeładowano nasze rzeczy na sanie, a my w pieszko pomaszzerowaliśmy do lesopunktu. odległego od Jolmy o jakieś 40 km. Z naszej rodziny poszła jeszcze moja najstarsza siostra. Na poseszku pozostała sama mama z młodszym rodzeństwem. Miejsce naszej pracy lesopunkt Girunelski, trudno nazwać dużym. Składał się on zasadniczo z jednego dużego baraku podzielonego na trzy części m.in. suszylkę przeznaczoną do suszenia ubrań, po lewej stronie była jedna duża sala mieszkalna, była też stołówka. Poza tym była jeszcze stajnia i naokoło las. Razem z nami pracowało tam jeszcze 4-5 miejscowych. Pamiętam, kiedy wchodziliśmy do mieszkalnej sali jeden z nich udawał, że śpi. Myśmy wiadomo dopiero co weszliśmy, byliśmy zmęczeni podróżą i rozgorączceni i zaczęliśmy wrywać nasze łacie i zastanawiać się jak tu przyjdzie nam żyć

Śpiący osobnik, później go poznałem i zaprzyjaźniłem nazywał się Wleumyty
Mikołaj /przesiedlony w 1936 r z Ukrainy miał 26 lat/ wstał i ostrzegł nas
przed wypowiedaniem sądów, bo tam wszędzie były uszy i mogło by się to dla nas
smutno skończyć. Radze lesocunkta podzieliły nas na brygady. Dbać o wyność
mieliśmy sami z tego co zrobimy. Aby nam ułatwić moja siostra wraz z inną
kobietą zobowiązały się przygotowywać nam posiłki, za co musieliśmy pewną
sumę im płacić /

/xxxxxxx nieczytelne ze względu na czerpaną muzykę xxxxxxxxxx/

był Grabieński Henryk z żoną Felicją, szymański Jan, Tyczyński Teofil z córką.
Nas było czterech w brygadzie. Praca polegała na waleniu drzewa z pnia,
obciosywaniu i palaniu gałęzi, odpowiednim przecinaniu pnia i sortowaniu.
po tym robiliśmy drogi do przewozu przygożowanych pni. Polecało to na tym
że jeden szedł i ścinał, dwóch czy ciło, jeden sortował i rozcinał, a kobiety
paliły gałęzie. Pracowaliśmy w trudnych warunkach, śniegu było prawie pod brogę
najpierw trzeba było ten śnieg odgarnąć specjalnymi kopatami, a dopiero
potem w umiejętny sposób ścinać. W skład brygady wchodził: Ja, Grabieński Henryk
Obara Jan, Adamczuk Zdzisław do tego pomagali nam dwie kobiety, zapomniałem
ich nazwiska. Wyżywienie było bardzo słabe, najczęściej przywożono nam owsiankę
gotowało się jakiś kisiel, jakiś olej był czasem a do tego chleb. Głodu
w tym czasie nie było, choć pożywienie było w wysokim stopniu nie wystarcza-
jące do prac jaką wykonywaliśmy. Jakoś przeżyliśmy do wiosny. Nie dostawaliśmy
roboczych ubrań i każdy pracował, chodził w tym co przywiózł z domu. Ubranie
z powodu pracy w lesie, bez względu na pogodę szybko się niszczyły. Lataliśmy
je jak kto umiał. Od czasu do czasu można było na specjalne pozwolenie, było
to raczej wyróżnienie za pracę, coś kupić w sklepie.
Mokrą odzież suszyliśmy w suszylce, odzież raczej się kisiła niż wysychła.
Na mrozie natychmiast stawała się sztywna tworząc skorupę chroniącą nas
od zimna. Wyglądaliśmy także nogi mieliśmy pookręcane szmatami, by choć
trochę zabezpieczyć je przed odmrożeniem. Jedną z większych plag utrudniającą

nam życie były pluskwy, przeciw nim stosowaliśmy różne sposoby i zabezpieczenie, nic nie pomagało, nie mniej we znaki dawały się nam wszy. Na Tiurmeńskiej nie było nawet kaźni. Przebywaliśmy tam kilka miesięcy. W maju czerwcu przeniesiono wszystkich Polaków trochę bliżej rodzin do innego lasopunktu Batiukowski. Był to centralny punkt, a przez to lepiej zorganizowany, życie tu było troszeczkę łatwiejsze, był tu sklep osobna stołówka - więc nie musieliśmy sami gotować - posiłki przygotowywały miejscowe rosyjanki. Najważniejszą była kaźnia i w niej od czasu do czasu można było się wykapać. Pracowaliśmy również w lesie wykonując takie same czynności co poprzednio. Miejscowi wywozili przygotowane przez nas drzewo nad brzeg rzeczki Szukszy i układali je w sztable. Wiosną kiedy następowały roztopy, a śnieg ginął w oczach przygotowane pnie spuszczało się do wody i spławiało do Piniegi a stamtąd dalej do Bwony. Na tym lasopuncie zaprzyjaźniłem się ze wspomnianym wcześniej Nieumytym. Wiele razy mi pomógł w trudnych sytuacjach. Pożyczył mi pieniądze bym pomógł mamie i rodzeństwu na posesji, co więcej sam się z nią ofiarowywał. Z innymi stosunki były raczej dziwne, oni chyba się nas bali, zresztą oni bali się wszystkiego i siebie nawzajem. Panował obowiązek pracy, była przestrzegana ścisła dyscyplina. Praca zaczynała się o 7 a kończyła o 15. Gorzej było zimą kiedy szybko zapadały ciemności także zaczynaliśmy pracę i kończyliśmy po-ciemku. Brakowało nam pieniędzy, zarabiałem niewiele tylko tyle aby się utrzymać tj wykupić przysługującą mi żywność i czasem parę rubli przesłać mamie. Do posesji gdzie oni przebywali początkowo nie można było chodzić, potem pozwolili nam na wzajemne odwiedziny. Ja jeździłem pomimo tego, że obie strony trzeba było pokonać po 40 km w trudnych warunkach i wrócić o czasie do pracy. Moja rodzina jak i Polacy pozostali na posesji także podlegali obowiązkowi pracy. Razem z dziećmi pracowano w lesie przy ścięcie drzewa z tym że było ono przeznaczone na opał.

1) 1)
Oieki lekarskiej nie było. Zjawiała się co prawda czasami mała felerzyca ale ona nie była fachowcem i nie miała lekarstw. Mogła ewentualnie zmierzyć gorączkę i wystawić sprawkę.

Zdarzyło się kiedyś, że zachorowałem na gryzę, ale bez gorączki i tylko dlatego że miałem u niej obody otrzymałem zwolnienie z pracy. Jak wspomnieliśmy ponownie obciążoną dyscypliną pracy. Za opuszczenie jednego dnia potrącano nam 10% zarobku, za drugi dzień 20%, za trzeci 30%, za następnym był już sąd i skierowanie do obozu pracy. Karana była także moja siostra na szczęście tylko piątnicami.

Wyrobić przewidziane normy było trudno, od ich ilości zależały zarobki. Wyrobić trzeba było u nas 40 norm, ponad to zwiększał się procentowy składnik wynagrodzenia, gdy wyrobisz się 60 norm to płacili nam wtedy za nadliczbowe normy po 1.20zł za jednostkę, gdy ktoś osiągnął 80 norm to płacili mu 1.4 zł za jednostkę, ale taką normę wyrobić było trudno. Raz, że nie byliśmy do takiej pracy przyzwyczajeni, po drugie była to trudna robota. Moja brygada składała się z młodych ludzi i w jakiś sposób dawaliśmy sobie radę. Poza tym norma też była określana w zależności od asortymentu i warunków pracy itp. Wynagrodzenie było marne. Na posiołku sytuacja była tragiczna, brak ubrań stare już się zużyły a nowe były wymieniane na żywność. Dla młodzieży żadnych szkół nie było, rodzice choć było jej sporo nie uczęszczała, wszystko trzeba było organizować we własnym zakresie.

Centralnie organizowane były tylko dwa święta: 4 maja i rocznica rewolucji. Te dni były wolne od pracy, przywołano niekiedy kulierki i to było całe dobrodziejstwo rocznic. Łączności ze światem nie mieliśmy, nie było radia, czasem ale ~~na~~to przychodziła miejscowa gazeta "Siewierna Prawda" drukowana w Archangielsku.

W okresie wiosny pracowaliśmy przy spławie drewna. To było najcięższe ze wszystkich prac. Pracowało się non stop przez cały czas trwania spławu bez snu i odpoczynku. Nasze zadanie polegało na spychaniu drewna do rwącej w tym czasie rzeczki i zapobieganie zatorom. Pracowaliśmy ciągle w wodzie, było zimno, to było coś niekiedy nieprzyjemnego. Wszyscy chodziliśmy jak w maglinie.

Po spławieniu drewna w 1941 roku wydelegowano nas do pracy w miejscowości Ustieniga/było to chyba już po wybuchu wojny/. O samej wojnie dowiedziałem się w lesie, przyszedł kierownik Szachuryn i powiedział, że Niemcy nadadli Ojczyznę. Pomyśleliśmy nareszcie i zastanawialiśmy się jaki będzie miało

wpływ na nasze losy. Powoli stosunek miejscowych zmieniał się na naszą korzyść. Przedtem może nie był wrogi, ale nie był też ludzki, byliśmy zawsze traktowani jako siła robocza. Zdarzały się przypadki, że przyjeżdżało NKWD i zabierało któregoś z Polaków m.in. zebrano Trzepiela Piotra, Wasowicza, Kozaka i innych. Przypomina mi się tutaj sprawa mojego kolegę Zawodko Stanisława, był to młodym człowiek, kiedyś postanowił uciec z zesłania i rzeczywiście podjął to ryzyko, po trzech tygodniach przywieziono go z powrotem, aby nam pokazać, został osądzony i skazany na karę kaga.

W Ustpienidze pracowaliśmy przy zestawianiu drewna leżącego u ujścia. Tutaj odbywało się sortowanie na odpowiednie gatunki, wiązanie w pęczki i zestawianie w taty wielkości 15-20 tyś. m³ drewna. Były one holowane przez specjalne holowniki do Archangielska. W tym czasie mieszkaliśmy na barce zakotwiczonej na Dwinie. Warunki materialne niczym się nie różniły od poprzednich, no może z zarobki były trochę lepsze, ale tu trzeba było pracować na okrągło z krótkimi przerwami na sen. Teraz, po wybuchu wojny pieniądze straciły wartość, po prostu nie można było za nie kupić. Pracowaliśmy tam do sierpnia, do końca lata nadchodziła zima, Rosjanie zaczęli zbierać do wojska, zostawiliśmy sami musząc wykonywać nie zmieniające się normy pracy. Przewodniczyłem jako brygadzieta jednej z takich grup roboczych. Po wybuchu wojny pogorszyło się zaopatrzenie w żywność. Powróciliśmy do osiołku. Władze wystawiły nam Udostawienia przez co staliśmy się wolnymi ludźmi. Nie było już obowiązków pracy dla Polaków więc do lasu pracować więcej nie poszliśmy. Dowiedzieliśmy się o zawartym układzie i o organizowaniu polskiej armii z prasy i od miejscowych. Żadnych informacji oficjalnych nie mieliśmy.

Mama z rodzeństwem pozostała na osiołku ja zaś udałem się do Pienigi miasta rejonowego im tam zaciągnąłem się do pracy w zakładzie metalowym. Nie popracowałem tam długo, gdyż warunki bytowania tak się pogorszyły, że trzeba było szukać innych sposobów. Dostawaliśmy po 400 g chleba i czasem mogliśmy kupić trochę zupy, nie można było wyżyć i pracować.

Wzięła się nas trójka Starzyński Jan, Taskarzewski Czesław i ja. Zaczeliśmy pracować w młeczarni przy organizowaniu lodowni. Polegało to na wyrębywaniu lodu i lokowaniu go w stodole. W ten sposób zabezpieczaliśmy go na okres lata.

Dobłą stroną tej roboty była możliwość otrzymanie czasem dodatkowo maślanki masła a także kupić trochę maki. Przepracowaliśmy tam ze 2-m-ce do stycznia kiedy to wybraliśmy się w drogę do wojska.

Na posesiolku matka pozostała w strasznych warunkach nikt nikomu nie mógł pomóc, panował głód. Przymusu pracy wprawdzie nie było, ale żeby otrzymać przydział chleba trzeba było pracować jak poprzednio. Niepracujący otrzymywali 200g. Do czasu wyjazdu pomocy od polskich placówek jeszcze nie było.

Pod koniec stycznia otrzymaliśmy nasze przydziały maki i nasza trójka postanowiła wyruszyć do wojska. Z tego przydziału gospodyni u której mieszkałem upiekła chleb na drogę. Nasza podróż do Archangielska trwała 4 doby. Trzeba było pieszo przejechać ponad 200 km. Maszerowaliśmy prawie bez przerwy. W Ustienidze dołączył do nas Bobrowik. Ostatnie 30km przejechaliśmy złapaną okazją - okazał się nią gaz samochód o odkrytą plandeką. Strasznie zgrzebialiśmy z zimna. Wsiadliśmy na przednie siedzenia, potem dotarliśmy do centrum miasta. Zjedliśmy coś w kawiarni i przeczocowaliśmy w domu koczownika. Nasze lokum było rzępekniane miejscowymi zagarniętymi do przymusowych prac. Jeden z nich to nawet więcej się nie obudził. Rano poszliśmy do naszej placówki. Przyjęcie było złe, jakież było nasze zdziwienie kiedy okazało się, że nie ma potrzeby abyśmy szli do wojska. Kierownik placówki - nazwisko nie pamiętam wyraził się "co to Czerwonka chcecie generałem zostać?"

Byliśmy zmęczeni i zawiedzeni. Pomógł nam jeden człowiek, który przysku-chał się naszej utarczce. Wiasek nasze dane personalne i obiecał załatwić skierowanie. Daliśmy mu nasze Udostawienia. Chodził z nimi do Wojenkomatu trzy dni, ale w końcu mieliśmy skierowania w rękę. Uprawiono to nas do pójścia do koszar, umycia się i zjedzenia posiłku. Przez dni oczekiwania byliśmy zdani na własne siły. Ze strony delegatury i placówki Polskiej nie otrzymaliśmy pomocy i wsparcia. Później dowiedziałem się, że człowiek który nam pomógł był przedstawicielem ambasady.

Powrócę do opisanie sytuacji na posesiolku po naszym wyjeździe. Wkrótce potem zaczęła być organizowana pomoc przez delegaturę w Archangielsku. Dostarczono jakąś potrzebną żywność i ubranie. Moje siostry chorowały na szkarlat. Chorowaliśmy na to już wcześniej sam mogłem wyjąć każdy zęb, po za tym

chorowaliśmy na kurzą ślepotę. Zdarzył mi się przypadek, kiedy musiałem szukać człowieka z naszej brygady, który z powodu kurzej ślepoty odłączył się od nas nie nie mógł trafić do domu. Poza szkorbutem moje siostry zachorowały na tyfus. Mama robiła wszystko by je utrzymać przy życiu. Dochodziło do tego że łapała psy dzięki temu zostały uratowane. Po pewnym czasie przenieśli się bliżej Archangielska do Chołmogor. Tam przebywali do 1944 roku. Pracowali w kolchozie. W 1944 moja rodzina w ramach akcji przesiedleńczej została przeniesiona w okolice Odessy. Tam ,pracowałem w kolchozie i /było im się dużo łatwiej. W lutym 1946 roku wróciliśmy do Polski. Na posiołku zdarzały się przypadki głodowej śmierci mama wspominała o kilku takich przypadkach.

Moja dalsza droga do armii Andersa

xxxxxxxxxxx nie przepisane xxxxxxxxxxxxxxx

Droga przez Iwanowo do Gorkiego, tam wskazała i działała polska placówka, otrzymaliśmy od niej pomoc. Zorganizowała dalszy transport na południe. Następnym etapem to Kujhyszew ożkałów.

Pohyt w ojsku i szlak bojowy.